



Janina Jankowska

część II z IV

Sygnatura notacji: **N1514**

Data urodzenia: **11.05.1939 r.**

Data nagrania: **13.08.2020 r. oraz 15.09.2020 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 49 min, część II: 65 min, część III: 67 min,**

Format nagrania: **video**

część IV: 65 min

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Artur Kłus: Jak udawało się łączyć pracę w Polskim Radiu i współpracę z Komitetem Obrony Robotników?

Janina Jankowska: Wie pan, to było bardzo ciekawe środowisko. Znaczący, czas. Dlatego że pracowałam wtedy w naczelnej redakcji programów... W naczelnej redakcji literackiej, redakcji reportażu literackich. Na przeciwko była „Publicystyka” i szefem „Publicystyki” był Aleksander Małachowski. I właściwie tam hrabianki jeszcze pracowały i tak dalej. I właściwie, jak szliśmy do stołówki i się gadało, i tak dalej, to wszyscy trzymali kciuki za opozycję. Ja oczywiście... i każdy przynosił jakieś informacje od kogoś i tak dalej. Poza tym goście, którzy przychodzili do radia, do redakcji literackiej, to też byli pisarze, którzy sympatię mieli po stronie opozycyjnej, czy ludzie sztuki. Więc atmosfera była podwójna, bo myśmy jako środowisko właśnie trzymali kciuki i o tym się gadało normalnie. Nagrywało się w „Piwnicy pod Baranami”, to nawet specjalnie jeden dział rejestrował wszystkie możliwe. Koleżanka jeździła i nagrywała wszystkie spektakle „Piwnicy pod Baranami”. A piwnica też już miała inny, prawda, była pewnym zjawiskiem na tym tle nowym. I teraz, oczywiście ja nie mówiłam wprost, że właśnie piszę i tak dalej, bo moja redakcja była, literacka, w ogóle cudowna, bo tak, dwie osoby były w AK. Jeden po latach się... Jeden kolega to przyszedł z UB, z Urzędu Bezpieczeństwa. Był pracownikiem autentycznym Urzędu Bezpieczeństwa i on przyszedł do radia dzięki temu, że jego wytypowano do ochrony Wandy Wasilewskiej. Nie, co ja mówię. Wandy Odolskiej. Była taka słynna dziennikarka czasów stalinowskich, Wanda Odolska, która miała swoje felietony z charakterystycznym głosem, która tępiła AK i tych „karłów reakcji”, i tak dalej, i była też druga taka audycja pod tytułem „Fala 49”, która, niby do słuchaczy pisałi i jeden aktor czy lektor czytał tę „Falę 49”. I na niego był... I on został zamordowany. W ramach, jak się mówiło, politycznych, że to był... Do końca właściwie ta sprawa była niewyjaśniona. Martyka się nazywał chyba. „Fala 49”

i wtedy Odolska dostała stałą ochronę ubeka, który początkowo, jak my mówiliśmy, pod jej drzwiami ją pilnował, potem już wszedł do mieszkania, a potem do sypialni. I dzięki temu ona go wprowadziła do radia, i on był moim kolegą. Właśnie też robił reportaże. Jerzy Rybczyński nazywał się. Więc tu mówię, tu były dwie koleżanki, które był w AK, jedna była w Ravensbruck, a tutaj był Jerzy Rybczyński z Urzędu Bezpieczeństwa i był jeszcze Jerzy Mikke, taki inteligent z Krzywego Koła, który zakładał Kluby Inteligencji Katolickiej po 1956 roku i nagrywał tylko od docenta w górę, do profesora. Niżej nie. Więc fajne było bardzo to moje towarzystwo. Niedawno okazało się, Jerzy Rybczyński, z materiałów IPN-u, że on jako ubek jeździł tutaj gdzieś chyba w okolicach Warszawy i też tropił tych akowców. Kiedyś pojechał do jakiejś rodziny i chciał aresztować tego człowieka, on się nie dał, więc on go zastrzelił i zastrzelił jego żonę w ciąży. I widziały to dwie młode dziewczyny, które potem jako świadkowie, teraz już w latach po... no, już parę lat temu, on miał, już toczył się proces przeciwko niemu właśnie za to zastrzelenie tej kobiety w ciąży. Ja się wtedy też dowiedziałam, że on to miał w życiorysie. W trakcie tego procesu on zmarł. Tak że nigdy nie został skazany, tylko też sobie po latach z koleżanką uświadomiłyśmy, w jakim żyłyśmy zestawie ludzi, że właściwie mieliśmy tutaj kolegę, który też był sympatyczny, nawet on się bardzo opiekował tą Wandą Odolską, która już była starszą panią. On nigdy się z nią nie ożenił. Ożenił się z kim innym, ale kiedy ona była schorowana i tak dalej, do końca życia się nią opiekował. Szkoda, że jej felietony zostały potem wykasowane. Jeden czy dwa chyba zostały tylko. No, nieważne. Więc on nawet wzbudzał nasz szacunek ze względu na tę opiekę starszą kobietą, ale okazało się, że taką miał historię w życiu. Więc KOR. Więc trudno byłoby... Bo to że on był w UB i był poza tym pierwszym sekretarzem partii na ulicy Myśliwieckiej, bo ja pracowałam najpierw na Malczewskiego, a potem już przeniesiono nas na ulicę Myśliwiecką. Więc jemu się nie chwaliłam. On zresztą był w tej komisji weryfikacyjnej, która mnie wyrzucała po 13 grudnia z partii i pamiętam, że on mówił, ale już tak prywatnie: „Pani Janko, przez was by tutaj na tych krew się lała, przez Solidarność, gdybyśmy nie zrobili stanu wojennego, to by się tu krew lała. Tu by pani na tym trawniku miała krew”. Takie opowiadał kawałki. Poznałam Adama Michnika, Jacka Kuronia, Wujca, Helenkę Łuczywo, Joasię Szczęsną, Janka Lityńskiego. Miałam wtedy nawet... Jurek też należał, Zieleński do tych dziennikarzy, którzy pisywali oficjalnie w prasie kulturalnej. Jednocześnie pisywał w Biuletynie Informacyjnym. Ja też rzadko, ale coś tam dawałam i do zapisu. Zapis to był już taki tekst kulturalny, literackie bardziej. Jurek Zieleński był pierwszym dziennikarzem, który napisał o Wałęsie taki reportaż. Kiedy Wałęsa jeszcze był tym robotnikiem, co roku w rocznicę wydarzeń 1970 roku on tam gdzieś czekał cały dzień w jakimś samochodzie czy jakiejś ciężarówce, po to, żeby rano kwiaty złożyć, bo go ubecja przez cały czas... I Jurek o tym robił reportaż. Więc taka sytuacja dziennikarzy, którzy pisali oficjalnie, a jednocześnie współpracowali z drugim obiegiem. Wojtek Adamiecki też do tych dziennikarzy należał. To też była swoista grupa dziennikarzy, żyjąca jakby w takiej schizofrenii, ale to było dla nas w owym czasie naturalne, bo przecież nie było innego radia i to była nasza taka podziemna walka. Z tych dziennikarzy zresztą, którzy się spotykali, sympatyzowali z KOR-em, to potem powstała ta grupa Doświadczenie i Przyszłość, DiP i jak wybuchł strajk w 1980 roku to oni zorganizowali ten list intelektualistów, który poparł strajk. A jeśli chodzi o... To byłam w tych stałych kontaktach. Myśmy mieli z Jurkiem... Piotr Naimski był naszym takim jakby kontaktem z KOR-em, co pewien czas myśmy się z Piotrem, i to właśnie przytapała ubecja, i to jest w materiałach IPN-owskich. Ja wtedy miałam małego Fiata i podjeżdżałam pod Pałac Kultury, a Jurek wychodził na Dworzec Centralny, tam spotykał się z Naimskim i potem wchodził do samochodu, i jeździliśmy po Warszawie, na Żoliborz, Kępa Potocka i tak dalej. I on tam nam przekazywał, co mamy robić, jakie są tam KOR-owskie decyzje, jeśli chodzi o prasę i o sytuację bieżącą. I to były takie systematyczne spotkania. Jedno z tych spotkań holowała nas od samego początku do końca, dlatego że kiedy myśmy się rozstali z Piotrem

Naimskim, to z Jurkiem gdzieś poszliśmy na wino, gdzieś na Stare Miasto, potem wracaliśmy wieczorem i taki policjant zwyczajny, milicjant wówczas nas wylegitymował. I po jakimś czasie do mnie do radia przychodzi facet, do radia na Myśliwieckiej, ale rozmawiam z nim na dole, bo tam była taka możliwość, stolik i dwa fotele, i on mi mówi, czy ja byłam tu i tu przedstawia się, bo tam w tym miejscu, gdzie ja byłam, bo jest na to dowód, bo mnie wylegitymowano, to popełniano morderstwo i prawdopodobnie zrobili to ludzie z KOR-u. Taką mi puścił, kawałek taki. I ja pamiętam, że ja po tym spotkaniu, czy on czegoś... Rozmawiam z Jurkiem i Jurek mówi: „Już nie wolno ci rozmawiać z nim. Zażądaj oficjalnego wezwania na komendę, w jakiej sprawie i tak dalej”. Więc on mnie tak edukował. Jurek Zieleński, teraz pisałam dla IPN-u też o nim historię, dlatego że to jest też dramatyczny oddzielny rozdział. On ma też swoją teczkę, ponieważ on jako młody chłopak podpisał współpracę, potem się z tego wywinął i był w opozycji, ale gdyby ktoś sięgnął dziś do jego teczki, to by też miał fałszywy obraz tej osoby i dlatego napisałam do szefa IPN-u, żeby dołączyć moje świadectwo, kim był Jurek, do tej teczki, ale powiedzieli mi, że nie dołączą, tylko tam będzie ono oddzielnie gdzieś. Lipiec 1980 rok, Henio Wujec mówi: „Trzeba jechać do Lublina”. I spotykamy się gdzieś tam w Ogrodzie Saskim, Henio ma wielki plecak z całą masą robotników. Mówi: „Musicie zawieźć”, podaje nam adresy i właśnie z Jurkiem Zieleńskim pojechaliśmy i jeszcze z takim Włodkiem Filipkiem, który był studentem z Poznania i był u mnie w radiu na stażu, ale w Poznaniu też był zaangażowany, bo to był jeszcze czas Latającego Uniwersytetu i tamci wykładowcy też przyjeżdżali do Poznania, czyli ten jakby ruch taki antykomunistyczny już się rozpoczynał w różnych miejscach. Tak że z Włodkiem Filipkiem i Jurkiem Zieleńskim pojechaliśmy. Miasto okropnie, takie smutne. Obwieszczanie, godzina policyjna. Myśmy tam całą mieli taką konspiracyjną metodę trafienia do tych naszych kontaktów, bo przecież nie wiedzieliśmy czy tam nie ma na przykład jakiegoś koła, czy coś w tym rodzaju. Właśnie kocioł, to ja przeżyłam kocioł, kiedy mojego ojca aresztowali. Organizowaliśmy to w ten sposób, że jedna osoba szła na przeszpiegi, żeby się tak zorientować, czy tam jest ktoś, czy kogoś nie ma. Ja samochód gdzieś tam daleko stawiałam, jeszcze pośredni był w środku tam ten Filipek. Jurek, który był młodym chłopakiem, brał udział w Powstaniu Warszawskim, więc on miał dobrze opracowane różne metody. On dawał znać temu Filipkowi, że jest czysto, a Filipek dawał mnie i tak potem udało nam się trafić. To było już po rozbiciu komitetu strajkowego w Lublinie. To był komitet strajkowy kolejarzy i tak że to było już rozbite i wiadomo, chcieliśmy trafić do tego przewodniczącego komitetu, a on się ukrywał w szpitalu, ale jednak poprzez te kontakty trafiliśmy do tego szpitala. Pamiętam, że już bardzo późno było i nagrałam z tym przewodniczącym tę historię tego strajku i tak dalej, i tak wracaliśmy, już było ciemno, o 10:00 była godzina policyjna, więc dosłownie w ostatniej chwili wracaliśmy. Potem ja tę kasetę przekazałam Jurkowi. Tfu, przekazałam Jackowi Kuronowi, bo mieszkanie Jacka było takim jakby biurem prasowym. Tam przychodzili korespondenci zagraniczni i to nagranie poszło w Wolnej Europie. Pamiętam, że się okropnie denerwowałam, bo pewnie nie wycięli mojego głosu, bo ja myślałam, że to jest nagranie tylko po to, żeby opowiedział Jacek Kuroń, a nie że saute będzie wyemitowane, więc pamiętam też taki swój strach i taką pewną pretensję do Jacka, że nie powiedział mi, że to będzie w Wolnej Europie, a ja przecież tu pracownik Polskiego Radia, więc jakby to skojarzyli, to wylatujesz, że tak powiem, w ciągu godziny. Ale jakoś nie skojarzyli i nie wyleciałam.

Artur Kłus: W sierpniu 1980 roku podobno pisze pani wiadomość do męża: „Bogdan, mamy rewolucję”. I wyjeżdża.

Janina Jankowska: A, tak. No, tak, bo mój mąż wyjechał z synem do Bułgarii na wczasy takie radiowe. Wtedy jeszcze były takie fajne czasy, że były międzynarodowe domy dziennikarskie, każdy kraj dawał jakieś pieniądze i taki

był na Węgrzech, i właśnie w Bułgarii, i tam oni wyjechali. A ja, nie wiem, czy ja miałam dołączyć do nich, czy... Tego już dokładnie nie pamiętam. Wiem, że oni nie spodziewali się, a już chyba mieli wracać, że mnie nie będzie. A tu się rozpoczął strajk w Gdańsku i już była wiadomość, że trzeba tam jechać. I też tym moim małym fiatem, z Wojtkiem Adamieckim, pamiętam, pojechaliśmy i z jakimś facetem, którego nazwiska dziś nie pamiętam, a który był z ramienia episkopatu jako taki doradca czy obserwator jeszcze, bo to jeszcze był czas, że ci doradcy dopiero co... chyba był Mazowiecki, Geremek. Jeszcze oni dopiero jechali tam. I myśmy jednocześnie też jechali. Tak że wiedząc, że... I to było rzeczywiście poczucie, że coś jest... Że to jest jakieś wydarzenie, chociaż jeszcze nie byłam w tym Gdańsku, ale już z tego, co dochodziło do nas i to że ja rzuciłam wszystko, nie chcieli mi oczywiście dać delegacji. Mój szef powiedział, że: „Delegacji na północ nie dostaniesz”, to wzięłam takie dwa dni, które w każdej chwili można było w ramach tam tego kodeksu pracy, można było wziąć na dwa dni matki z dzieckiem. I ja wzięłam tak z dnia na dzień te dwa dni z matki z dzieckiem, już tam zostałam. Wyrodna matka na dziecku się, że tak powiem, oparła, żeby od dziecka uciec.

Artur Kłus: I zajeżdża pani w momencie, kiedy te kobiety wtedy...

Janina Jankowska: Tak, ale nie... Ja dojeżdżam już później, kiedy... Znaczący tego dnia, kiedy wystawiano 21 postulatów, a to, że kobiety zatrzymały, to ja tego nie widziałam osobiście, to znam z opowieści, ale to było chyba tego samego... Nie, poprzedniego dnia. Chyba poprzedniego. I stawiano krzyż. I szykowano tę pierwszą mszę świętą. To tego dnia, kiedy myśmy przyjechali, to właśnie kopano dół, żeby postawić krzyż. I już wisiały świeżutkie te 21 postulatów. Z tym, że ludzie już spali, ale to był taki wieczór, że jeszcze w komitecie wojewódzkim partii odbywało się takie posiedzenie, bo przyjechał wicepremier Pyka, wezwany, żeby coś zrobić z tym strajkiem. Jak wiadomo, nie mówiło się „strajk” tylko „przerwy w pracy”. I myśmy tak, tu podjechaliśmy pod stocznnię, a tutaj już inni koledzy mówią, że trzeba jechać do KW. Mieliśmy legitymacje radiowe i mieliśmy prawo. Na takie legitymacje mogli nas wpuścić, i wpuścili. I w tym komitecie wojewódzkim byli tam ci wszyscy działacze i tam właśnie trochę tej prasy, i głównie działacze. I Pyka. Pamiętam, jak ci działacze opisywali Pyce, co się dzieje w Gdańsku, że za chwilę tutaj poleje się krew, że to są terroryści, że trzeba użyć siły, że inaczej się tego nie rozbije. Byli strasznie napaleni, ci z komitetu wojewódzkiego. A tamten dosyć tak uspakajał. Ja nie wiem, czy chyba nie było tam tego towarzysza, co potem został pierwszym sekretarzem po Gierku. Jak on się nazywał?

Artur Kłus: [niezrozumiałe, 00:20:58]

Janina Jankowska: W każdym razie następnego dnia...

Artur Kłus: Kania.

Janina Jankowska: Kania, tak. Bo to Kania. Chyba był też Kania, tak mi się wydaje. I Kania tak uspakajał. Zadaniem Pyki było jeżdżenie, broń Boże, nie rozmawia się z komitetem strajkowym, tylko jeździ się do wszystkich zakładów, które w tym komitecie mają swoich delegatów i załatwia się im wszystkie ich postulaty. Podwyżki, uprzejmie proszę. Tutaj jakiś dom wczasowy, bardzo proszę. Tutaj godziny pracy zmienić, no, nie pamiętam bo...

Artur Kłus: Wolne soboty.

Janina Jankowska: Wolne soboty. Każdy z tych zakładów miał oprócz tych 21 postulatów jakieś swoje i oni chcieli to rozbić na zasadzie, że... I tu właśnie po raz pierwszy pokazała się, właściwie po raz drugi, ale po raz pierwszy, tak po raz drugi, Solidarność, bo żaden z tych wewnętrznych komitetów strajkowych w danych zakładach pracy nie zgodził się na porozumienie, na załatwienie tylko swoich spraw. Natomiast wracając do kobiet i ich roli w tym strajku, to jest po pierwszym podpisaniu... bo jak wiadomo, kiedy strajk wybuchł, to był pierwszy komitet strajkowy, był z ludzi... stanął na jego czele Wałęsa, potem prosili, żeby... Zażądali, żeby Gniech, to był dyrektor i rozmawiali z dyrektorem jako z partnerem, żeby przywiózł Anię Walentynowicz, pojechał samochód po Anię Walentynowicz, więc już była Ania Walentynowicz, różni ludzie. I Gniech bardzo sprytnie powiedział: „Okej, będziemy rozmawiać, ale musicie mieć przedstawicieli z wszystkich oddziałów”. I wtedy doszli różni inni, którzy niekoniecznie byli tacy odważni jak ci pierwsi i zgadzając się właśnie na te 2 tysiące podwyżki, na przyjęcie do pracy Wałęsy, na ten, już podpisali to porozumienie. I wtedy... to po trzech dniach. I właśnie wtedy te kobiety stanęły i powiedziały, zresztą inni ludzie też i tam ta Krzywonos też odegrała rolę, ale ona była na sali BHP i powiedziała: „Co? Wyście załatwili sobie? A my?”. Bo tam jeszcze wśród tych spraw do załatwienia było bezpieczeństwo, że z powodu strajku nie będzie żadnych konsekwencji. Nie wolno było wtedy strajkować. Strajk był przestępstwem, więc stoczniowcy sobie załatwili. A inne zakłady? I wtedy pojawia się po raz pierwszy ta Solidarność i Alinka Pieńkowska przy pomocy takich młodych stoczniowców zamyka, razem z Anią Walentynowicz zamykają bramę numer dwa, Ania staje na takiej beczie i krzyczy głośnikiem: „Ale jest skutecznie!” i wtedy kilkaset osób zostało na noc, bo część wyszła. I Wałęsa zrozumiał, że tu już jest inna gra. Nawet początkowo chciał odejść. Borusewicz go prosił, żeby został nadal tym przewodniczącym. Teraz Wałęsa różnie to interpretuje, ale to już jego prawo, żeby takie różne tam opowiadać historie. W każdym razie został tym przewodniczącym i szybko zrozumiał, że nie może inaczej. I rano ludzie przyszli z powrotem, ci robotnicy wrócili. I potem zaczął się ten czas, który ja mówię, że był najważniejszym w życiu Wałęsy czasem, kiedy on był rzeczywiście genialnym przywódcą. To znaczy te 18 dni strajku, gdzie delegaci siedzieli w sali BHP, Wałęsa przychodził, to były te tak zwane plena, Gdańsk był odcięty telefonicznie od całej Polski i Wałęsa mówił, co jest i zawsze kończył: „Trzymamy i będziemy się trzymać dalej”. I on rzeczywiście miał taką energię i tą... energię jakby w tę salę władowywał. On był w owym czasie naprawdę nie do zastąpienia. Bardzo, bo to było to spoiwo, Wałęsa. A później trochę mu woda sodowa już do głowy uderzyła, ale to jakby jest opowieść o innym czasie.

Artur Kłus: Jeszcze pani wspominała też o ważnej roli Andrzeja Gwiazdy.

Janina Jankowska: To jest szalenie ważne. Andrzej Gwiazda, gdzie mogę, chcę to podkreślić. Kiedy myśmy przyjechali, to wiedzieliśmy, że jest Wałęsa, ale że druga postać najważniejsza w tym strajku to jest Andrzej Gwiazda. Andrzej Gwiazda zresztą chciał z nami, mam takie z tego strajku pamiątkowe zdjęcie, jak rozmawiamy z Andrzejem Gwiazdą. Adamiecki i ja. Andrzej Gwiazda był bardzo otwarty. I co on zrobił w pierwszych dniach strajku? Kiedy przychodziły różne zakłady, on objechał wszystkie ważne zakłady, które decydowały o funkcjonowaniu miasta. A więc elektrownię, wodociągi, tam różne spożywcze i tak dalej, transport. I mówi: „Jesteście tu, bierzecie udział w strajku, wysyłacie swoich delegatów, ale normalnie pracujecie. Miasto nie może ucierpieć z powodu strajku”. I to był ten fenomen niesamowity, który... jak ja potem z wojewodą, tym Kołodziejem, rozmawiałam i on mówi: „Myśmy byli

zaskoczeni. Tu jest strajk, a tu funkcjonuje miasto. Nic tutaj się nie zmienia. Nie można mieć żadnej pretensji, że ten strajk coś niszczy, dezorganizuje i tak dalej”. To jest jedna rzecz. A druga rzecz, nie wiem, skąd to wyszło, była taka niepisana, że nie wolno na teren strajku przemycać czy w ogóle posiadać alkohol. I tego trzymali się stoczniowcy niesamowicie. I ja pamiętam taką sytuację, że ktoś tam chciał komuś przemyścić i to było przyjęte, potem na plenum o tym się mówiło, jako rozbić strajku. Jeśli tu będzie alkohol to znaczy, że ktoś chce rozbić nasz strajk. I co ciekawsze, że także w niektórych restauracjach, knajpach w Gdańsku też przestano sprzedawać alkohol. Więc taka niesamowita dyscyplina, taka oddolna, wewnętrzna nienarzucona karami czy zarządzeniami dyscyplina. I jak się okazuje, to stać nas na taką samodyscyplinę, jeśli tylko mamy cel i umiemy się jakoś zorganizować. Część stoczniowców spała na tych różnych swoich oddziałach. Noclegi, bo zaczynam od noclegów. Myśmy, my – dziennikarze wychodziliśmy i byliśmy w hotelach. Przychodziliśmy rano. Zawsze na śniadaniu rano też była taka prasówka, był Kapuściński, co się dzisiaj zdarzy, co jest tego, co w KW. Ci z polityki chodzili do komitetu wojewódzkiego, też tam przynosili wiadomości. Więc... Natomiast delegaci non stop byli w tej sali BHP. Pamiętam, nagrywałam taką dziewczynę, która pisała na maszynie. Ona spała, mówi, w mównicy śpi. I córka przychodzi tylko i tam jej daje coś. Zorganizowana była żywność fantastycznie, ponieważ zaczęli ludzie, chłopcy przywozić jedzenie. Działała stołówka, czyli wydawano obiady. Normalnie wydawano obiady, a oprócz tego na sali BHP robiono kanapki. To Ania Walentynowicz, pamiętam, smarowała tym smalcem z cebulą te kanapki. Tak że od razu było to wszystko zorganizowane. Dostawa jedzenia, stołówka i ci delegaci. Nie wiem, czy ci delegaci się zmieniali, działała oczywiście drukarnia, biuro prasowe stoczni. Ono było, ta drukarnia to była drukarnia stoczniowych tak, bo oni mieli drukarnię w stoczni, bo coś tam zawsze wydawali, ale oprócz tego ludzie z KOR-u się pojawili. Konrad Bieliński wydawał i to już był taki biuletyn, biuletyny na takim, półowa A4 i to się nazywało „Solidarność”. Taki był tytuł tego biuletynu. Wydawano przepustki też. Myśmy też dostali przepustki. A to też była jeszcze historia taka, może warto to opowiedzieć, że pierwsze dni jak myśmy byli, kiedy nas wpuszczono, ja to przysłałam, powiedziałam, że pracuję w literaturze, nie w Radiu Polskim, dlatego że z radia by mnie nie wpuścili, na dziennikarzy radia i telewizji byli cięci, bo tam się właśnie mówiło o tych przerwach w pracy i takie różne propagandowe audycje były i tak dalej, ale już dziennikarze byli kilka dni i w dalszym ciągu przerwy w pracy, więc w pewnym momencie komitet strajkowy mówi: „To do widzenia. Siedzicie tu, dziennikarze, a społeczeństwo nie jest poinformowane”. To wtedy myśmy się zebraли do kupy, różne tytuły, od „Polityki”, „Trybuny Ludu” po prasę katolicką, PAX-owską i tak dalej, i postanowiliśmy napisać takie oświadczenie, że my, dziennikarze obecni w stoczni, nie przyjmowane są nasze relacje i tak dalej, tłumaczące, że po prostu redakcje nie przyjmują, bo te materiały, które był publikowane, to powstawały w biurze politycznym, w biurze prasowym komitetu centralnego. Więc konieczne było, bo już chcieli nas wywalić. Wobec tego... Ale jak tu wspólny tekst napiszą z „Trybuny Ludu” i z prasy katolickiej. I kolega, zresztą fotograf obfotografował nas. Nawet jedna fotografia jest w Europejskim Centrum Kultury, ale on zrobił cały cykl fotografii, jak my tam się zbieramy i piszemy ten tekst. Tutaj Wojtek Adamiecki był fantastycznie, jak ja mówię, król kompromisu, bo jemu zależało, żeby ci dziennikarze z „Trybuny” też się podpisali. Ale różnie to bywało. Jeden dziennikarz słynny, ale to z prasy gdańskiej podpisał się, ale potem wyrwał ten podpis, odciął, nawet ta kartka jest i zjadł ten podpis na moich oczach. A na przykład Irena Dryl, dziennikarka „Trybuny Ludu”, ona była taka bardzo lojalna, ale ona przeżyła wielki przełom w stoczni. Niemniej ona... to oświadczenie my wysyłałaliśmy z jednej strony do komitetu strajkowego, ono zostało odczytane, a z drugiej strony do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Też protestujące przeciwko temu, że nasze relacje nie są emitowane czy nie są drukowane. I Irena Dryl podpisała to do SDP, a już do komitetu się bała, bo uważała, że to nielojalne. Ona zresztą najczęściej bywała w komitecie wojewódzkim,

bo ona była taka ideowa partyjnie, niemniej... ona jest też autorką, ona przygotowywała Jagielskiego, kiedy rozpoczęły się rozmowy z rządem, to znaczy mówiła mu, jaka jest sytuacja, jacy tu są ludzie i tak dalej. On zresztą bardzo dobrze te rozmowy prowadził i wykazywał pełen szacunek dla partnerów, i ona jest autorką tego powiedzenia już pod koniec: „Nie ma wygranych, nie ma przegranych”. Chodziło o to, żeby każda strona wyszła z twarzą. Ale Irena Dryl przeżyła wielki przełom. Ona po stoczni nie wróciła już do „Trybuny Ludu”. Ona była taką dziennikarką ekonomiczną. Ja potem z nią robiłam wywiad do innej książki i ona jest jedynym dziennikarzem, który śledził losy stoczni do dnia dzisiejszego. Ona jeszcze żyje. I ma niesamowicie dużo materiału. Ona zarejestrowała cały ten upadek stoczni, wszystko, co się działo ze stoczną od 1981 roku tam do nie wiem, ale prawie już do czasów współczesnych. I mówiłam jej, że powinna to wydać, powinna zrobić książkę na ten temat. Ale już jest starsza pani i być może już ma tylko materiały, więc bardzo proszę, gdyby ktoś się zainteresował, to do Ireny Dryl fantastyczne materiały dotyczące historii stoczni. Co tam dalej?

Artur Kłus: Jeszcze chciałem też zapytać o to, czy z drugiej strony było poczucie strachu, czy się nie powtórzy Grudzień 1970?

Janina Jankowska: O, to było. Ja w tym reportażu, jak już go tworzyłam w maju 1981 roku, gdzie chciałam pokazać, co się działo w stoczni, to pokazywałam to jakby z trzech stron. Pierwsze to, co się działo w stoczni, wypowiedzi stoczniowców, rozmowy z rządem, potem nagrywałam Kołodziejskiego, który jak oni z pozycji władzy widzieli to, jak powstaje ten strajk i trzeci nurt to był... też, nagrałam ludzi, którzy przeżyli 1970 rok w stoczni. Dlatego że świadomość 1970 roku była bardzo silna. I oni zdawali sobie sprawę, że nie mogą przekroczyć bram stoczni. Że jeśli wyjdą na zewnątrz, to spotka ich to, co spotkało tamte pochody. Więc tu była taka niesamowita dyscyplina. To było jedno. I była też taka dyscyplina polegająca na tym, żeby nie ruszać Związku Radzieckiego i skrajnych. Co było śmieszne, śmieszne, nieśmieszne, ale pamiętam, że jak pokazał się jakiś, bo tam do stoczni przychodzili przecież i pisarze, i Wajda, i Janek Głowacki, i różni działacze opozycji, i tak dalej, i byli wpuszczani. Pamiętam, pokazał się jakiś pan, który miał tutaj znaczek KPN. Proszono, żeby ten znaczek zdjąć, bo już uważano, że KPN, jak ktoś tutaj go sfilmuje, to jest upolitycznienie strajku i jest przeciwko strajkowi. Czyli tutaj była bardzo silna taka samodyscyplina czy autocenzura. Chociaż trudno powiedzieć. Poza tym były też informacje, że gdzieś tam na redzie są statki Układu Warszawskiego czy radzieckie, czy coś. Takie dochodziły, że gdzieś tam się pokazują, więc czyli poczucie tego zamknięcia i w związku z tym nie możemy dać żadnego pretekstu, a z drugiej strony był to rzeczywiście kawałek wolnej Polski, gdzie się mówiło już zupełnie innym językiem i to przede wszystkim było widać już w rozmowach z rządem. Tam nie tylko brał udział sam Wałęsa, bo ta strona strajkowa była, tam było z 15 osób i prawie każdy z nich coś mówił w pewnym momencie i to mówili tak wprost, jak jest, o sobie, o swojej pracy, o tym, o owym. Tutaj może pominęłam ważny moment, kiedy dołączono ten postulat wolnych związków zawodowych, bo ten postulat pojawił się właśnie już tego trzeciego dnia przy tych 21 postulatach, bo poprzednio ten pierwszy komitet strajkowy, to taki najbardziej radykalny postulat, to był pomnik. To oni wtedy obiecywali tablicę pamiątkową. Nawet jeden z tych robotników mówi: „Nie, dziękujemy za tablicę. Nam wystarczy pomnik stoczniowców 1970 roku”. Sam fakt, że jednym z naczelnym postulatów to był pomnik dla stoczniowców 1970 roku, świadczy jak ten moment historyczny głęboko tkwił w tym strajku i wśród ludzi. Tak że ta świadomość była bardzo taka widoczna, ale z drugiej strony tak pękła, nie było żadnego sztucznego języka, żadnego takiego usiłowania. Oczywiście doradcy pewnie tam... ale doradcy nie występowali oficjalnie. Oni tylko

doradzali po rozmowach, a tutaj face to face to byli komitet strajkowy i komitet rządowy. Tam nie siedział Mazowiecki i inni jako rozmówcy. Była tylko historia, kiedy już dochodziło do podpisania porozumień z tak zwaną kierowniczą rolą partii, bo tu się szalenie upierała strona rządowa, żeby w tych porozumieniach zawarto, że ten komitet strajkowy uznaje kierowniczą rolę partii, a komitet strajkowy głównie w osobie Andrzeja Gwiazdy, ni cholery nie chciał uznać tej kierowniczej roli, ale tak samo pamiętam, była Jadwiga Staniszkis jako ekspert i ten doradca, i ponieważ doradcy namawiali, zresztą Mazowiecki na początku to nawet namawiał, bardzo był ugodowy Mazowiecki, ale z drugiej strony też szybko stawał po stronie strajkujących, ale początkowo nawet sugerował, że już zmiana i nowe wybory do Centralnej Rady Związków Zawodowych, że to już, może na to się zgodzi, że on powiedział absolutnie nie, więc nie, ale kiedy przyszło do tej kierowniczej roli partii, to pamiętam, że Jadwiga Staniszkis na znak protestu wyjechała ze stoczni, dlatego że większość doradców szukała wyjścia, bo wiedziała, że nie uda się bez tej kierowniczej roli partii. To znaleźli takie coś, że tę kierownicę umieścili w jakimś dodatkowym dokumencie, nie w tym podstawowym, tylko w taki jakiś, jakaś glosa tam powstała i tam, żeby owca była cała, i wilk syty, i owca cała.

Artur Kłus: I wraca pani ze stoczni, i powoli powstanie...

Janina Jankowska: Aaa... wracam ze stoczni już, że tak powiem w glorii. Moja szefowa mi kupiła kwiaty. Chociaż gdyby nie było podpisanej tej umowy, to przecież by mnie wywalili z roboty. To jest z punktu widzenia dziennikarskiego czy takiego ludzkiego ważny moment, że miałam uczucie, będąc w tej stoczni, że biorę udział w niesłychanie ważnym momencie historycznym. I dla bycia tutaj jestem gotowa stracić pracę, bo przecież nie wróciłam wbrew woli już, po tych dwóch dniach byłam w stoczni, że jestem gotowa stracić pracę, bo to jest ważniejsze, czyli mój los zależał od wyników rozmów z rządem. – To jest jedna rzecz. A druga rzecz, że byłam jakby w podwójnej roli, to znaczy byłam dziennikarzem, do momentu rozpoczęcia rozmów z rządem byłam jedyną dziennikarką radiową, która nagrywała, a innych nie było radiowych ani telewizyjnych. Potem rozpoczęły się rozmowy z rządem, wpuszczono i automatycznie jak już rząd przychodził, to i dziennikarze z rozgłośni gdańskiej byli wpuszczeni i przyjeżdżali inni, i tak dalej, i Englert taki z telewizji już kręcił, i ktoś tam jeszcze kręcił. Dziennikarzy zagranicznych też wpuszczono. Tak że... Ale będąc tam od początku miałam wrażenie, że jestem z jednej strony dziennikarzem, który zawodowo ma rejestrować i jak najwięcej zebrać materiału z tego, co tu się dzieje, co nie było łatwe, bo to była praca zespołowa, powinna być, a ja musiałam latać stąd dotąd, zresztą jeszcze do Gdyni, do Stoczni Gdyńskiej pojechałam, więc z jednej strony byłam dziennikarzem, a z drugiej strony byłam też jakby uczestnikiem, bo kiedy my już jako dziennikarze daliśmy to oświadczenie, to już byliśmy częścią jakby tego, co się dzieje w stoczni, czyli jakimiś takimi pomniejszymi, ale jednak aktorami tych wydarzeń. Z taką pełną świadomością, że ma się wielką szansę, że bierze się udział w takim ważnym momencie. Myślę, że Powstańcy Warszawscy też chyba mieli to uczucie, już niezależnie od tych dramatycznych losów tego powstania, ale chyba też mieli uczucie, że biorą udział w czymś ważnym, historycznie ważnym. I my tutaj też.

Artur Kłus: Wraca pani do Warszawy i powoli powstaje reportaż, który właściwie w radiu można nawet do dzisiaj słuchać.

Janina Jankowska: Słuchać, tak. To nie tak bardzo powoli, dlatego że nie jest... Podpisanie umów to nie było zakończenie walki. Przecież ten tak zwany rok karnawału to był rokiem wiecznych konfliktów, rozmów, utarczek i tak

dalej. Przede wszystkim kłopoty były z zarejestrowaniem związku jako organizacji ogólnokrajowej, bo władza myślała, że to tak po kościach się rozejdzie, że powstaną te organizacje w różnych województwach rozbite i tak dalej. Więc już pierwszy taki konflikt na jesieni, bardzo poważny, zresztą tam nawet groziło, jak historycy mówią, że było całkiem blisko wejścia towarzyszy radzieckich. Już właśnie na jesieni 1980 roku było bliżej niż w 1981 roku po stanie wojennym. I cóż, ja zrobiłam bardzo szybko pierwszy reportaż, właściwie ze stoczni w Gdyni, bo zależało mi, żeby jak najszybciej to się ukazało na antenie, żeby ludzie usłyszeli, jak mówią stoczniowcy, o czym się rozmawia, jak się rozmawia o ich sprawach, jak innym językiem. Ja bardzo szybko zrobiłam materiał już taki ograniczony do Stoczni Gdynińskiej i to było na antenie 9 września. To jeszcze nie było w ogóle Solidarności i to antena była przecież ogólnopolska, czyli to było niesamowite wydarzenie. Dla mnie zawodowe i myślę, że ważne także historycznie, że ludzie gdzieś tam w Rzeszowie, na południu, na Śląsku i tak dalej usłyszeli, co się działo w Gdańsku, jak ludzie mówią o ich sprawach w Gdańsku. Podobno tak się rozdzwoniły telefony, a była wtedy specjalna redakcja łączności ze słuchaczami, że to się zakorkowało, tyle było telefonów i tak dalej, więc to było niesamowite dla mnie przeżycie. To było 9 września w takim programie „Dialogi i zbliżenia”, rano szedł ten reportaż. A potem byłam zajęta zmianą, bo dziennikarze, którzy byli w stoczni, spotkali się w SDP-ie i postanowiliśmy wywalić, zmienić władzę SDP-u, bo tam przecież byli ludzie z Komitetu Centralnego, szefowie radia i telewizji, PIO tak zwanego. I właśnie Jurek Zieleński zorganizował taką grupę usługową, która przygotowywała zjazd, bo w myśl naszego statutu, jeśli ileś tam będzie podpisów, można zrobić nadzwyczajny zjazd walny SDP.

Artur Kłus: Grupa inicjatywna.

Janina Jankowska: Grupa inicjatywna, tak. Jurek był w tej grupie... On właściwie był inspiratorem i kierował tą grupą inicjatywną. Ja też w niej byłam. Przyjeżdżali dziennikarze z całej Polski i przygotowaliśmy ten zjazd, zdjęliśmy tych aparatczyków. Stefan Bratkowski został prezesem, Maciek Łłowiecki wiceprezesem, powstały takie różne komisje interwencyjne, ja byłam w komisji interwencyjnej, które załatwiały sprawy dziennikarzy. Zupełnie nowa struktura. Te przemówienia, ten zjazd to była wielka szkoła demokracji. Zresztą w ogóle wszystko, co działo się przez ten rok karnawału to była szkoła demokracji, dlatego że po pierwszych, kiedy powstawały już, po pierwsze zarejestrowano wielki związek, po drugie w regionach, czyli w województwach powstawały regionalne organizacje związkowe. Początkowo to byli członkami tych organizacji... tam na czele tych organizacji stawali ci, którzy strajkowali po prostu. Najbardziej czynni. Ale już od stycznia 1981 roku zaczęły się wybory, już demokratyczne, nowych władz regionalnych i delegatów na Pierwszy Zjazd Solidarności, który 1 września się rozpoczął. I ten cały proces wyborów to była wielka szkoła demokracji, to raz. Dwa, to była szkoła prowadzenia rozmów. Przecież to nie było tak, że wszystko zostało dane na tacy. Wolne soboty to był też wynik negocjacji. Dostęp do radia i telewizji, tegoż nie było. Też były rozmowy i w wyniku tych rozmów sześć programów telewizyjnych mogło powstać przez związek zawodowy przygotowanych i nieocenzurowanych. Sześć. Ale to już udało się podpisać. To znaczy prasę i wydawnictwa do użytku wewnątrzwiązkowego. I dzięki temu w regionach mogły funkcjonować drukarnie, powstawały pisma takie różne regionalne, dano prawo do jednego pisma, tygodnika „Solidarność”, to on wychodził oficjalnie, a oprócz tego wychodziły pisma różne, ale do użytku wewnątrzwiązkowego. I powstawały radia „Solidarność”. Ja byłam w radiu „Solidarność”, region Mazowsze. I myśmy realizowali audycję w radiu. To znaczy zgrywaliśmy, to były magazyny godzinne raz w tygodniu, ale to nie było emitowane przez radio, tylko oczywiście było rozprowadzane, najpierw

kopiowane, robiliśmy tak zwaną kopię-matkę, w regionie było to kopiowane w kilkuset, tysiącach egzemplarzy, było rozprowadzane po wielkich zakładach pracy, ewentualnie przychodzili ludzie i kupowali to. I to był do użytku wewnątrzwiązkowego, ale to miało znaczenie. Co to było? To był następny krok w tym procesie rozbicia monopolu na informacje, bo pierwsze to były wydawnictwa podziemne, jeszcze przed 1980 rokiem, a kiedy już powstawały te drukarnie w regionach Solidarności, to był następny krok rozpowszechniania informacji, czyli monopol informacyjny partii i tego już był coraz naruszony, że tak powiem. Książki wychodziły przecież też. Ja byłam w ramach naszej redakcji, radia „Solidarność” region Mazowsze, to sama zresztą wybrałam sobie obsługiwanie komisji krajowych. One były różne, były w Bydgoszczy, ale najczęściej w Gdańsku. Czyli jeździłam i nagrywałam non stop całość, bo myśmy mieli już takie poczucie, że my musimy archiwizować. Myśmy nie tylko zbierali materiały kawałkami do tych magazynów, ale wiedzieliśmy, że trzeba całość nagrywać. I dzięki temu te komisje, potem jak już założyliśmy Archiwum Solidarności, w 1985 roku chyba, już wydawaliśmy podziemne pierwsze te i książki, i dokumenty spisywane, potem rozmowy z rządem i to archiwum istnieje do dzisiejszego dnia. Potem to już było drukowane oficjalnie, ale dzięki temu jest zapis tych wszystkich komisji krajowych. Marek Owsiański, ja i tam inni mieliśmy poczucie, że to, co robimy, jest ważne. Że nie tylko bieżąca praca, ta dziennikarska, ale że my musimy to archiwizować. Tak że ja obsługiwałam te komisje. Jednak też do strajków jeździłam i robiłam reportaże. Niektóre szły na antenie oficjalnie. Ale tak, komisje krajowe, a potem zjazd, pierwszy zjazd. I też nasz zespół wszystko nagrywał w całości, każdą godzinę po godzinie zjazdu. I z tego robiliśmy, w nocy pracowaliśmy i braliśmy tam poszczególne fragmenty na godzinny magazyn taki, po to, żeby ludzie, uczestnicy zjazdu, bo zjazd też trwał ze dwa tygodnie dobre, uczestnicy zjazdu mogli kupić taką kasetę z najważniejszymi wypowiedziami. I ten zjazd też został chyba wydany, i te ostatnie krajówki. Ja byłam tylko na pierwszym dniu ostatniej krajówki, 11 grudnia, bo 12 już wyjechałam do Berlina, ostatnim samolotem.

Artur Kłus: Jeszcze był też ten kryzys bydgoski, sytuacja z tą taśmą [też była dramatyczna]

Janina Jankowska: O, tak. To była sytuacja bardzo dramatyczna. Z tym, że ja byłam w Warszawie. Ja nie byłam w Bydgoszczy, gdzie odbywały się te spotkania, takie najbardziej, gdzie Wałęsa wyszedł, trzasnął drzwiami, Karol Modzelewski tam odegrał dużą rolę, żeby jakoś to wszystko scalić. Pierwsza rzecz to była ta krajówka bydgoska. To oczywiście po... Tam Rulewski odgrywał główną rolę i ten słynny, gdzie przedstawiciele związku znaleźli się na posiedzeniu Rady Narodowej, chyba to się tak nazywało. I tam doszło do takiego wejścia policji i pobicia tych delegatów. Nie delegatów. No tych ludzi z Solidarności. Z tego się zrobił bardzo poważny konflikt. Ja znam bardziej ten drugi etap tego konfliktu, kiedy już krajówka wytypowała komisję do rozmów z rządem, bo miał nastąpić strajk generalny. Ludzie się przygotowywali. To była bardzo napięta sytuacja. Naprawdę nie wiadomo było. Wejść, nie wejść, z jednej strony, a z drugiej strony czy stanie kraj, czy nie stanie. Moja, jak potem mi przekazywał szef UOP-u późniejszy, to moja decyzja o internowaniu właśnie pochodzi z marca 1980 roku. Była wypisana w marcu 1980 roku w trakcie, kiedy ten konflikt miał się rozegrać. A datę 1981 roku potem... ale znaleziono to właśnie w dokumentach marca 1980 roku. I to wszystko wisało na włosku. Jak wiadomo, jednak... I chyba dobrze, że zrezygnowano z tego strajku generalnego. I śmieszne, bo Wałęsa Gwieździe kazał przeczytać tę rezygnację, a Gwiazda był najbardziej radykalny, ale kiedy już dla informacji, dla telewizji dawał, była konferencja, która przekazywała opinii publicznej wyniki rozmów rządowych, to właśnie te wyniki przekazywał Andrzej Gwiazda. I to było śluszne, dlatego że gdyby Wałęsa, to mogły powstać wśród radykałów bardzo takie ruchy, a jeśli Andrzej to przekazał, to znaczy, że wszyscy muszą się podporządkować.

Artur Kłus: I w tym czasie mniej więcej powstawał Polski Sierpień?

Janina Jankowska: Polski Sierpień, tak, zaczął powstawać tak luty, marzec, kwiecień. Jakoś nad tym... Po nowym roku zaczęłam pracować nad Polskim Sierpniem. Warunkiem było to, żeby ta audycja w maju była przekazana, ale żeby była wyemitowana. I to jest tak, że pozwolono mi to robić, chcieli, żeby to wysłać na Prix Italia, ale mieli kłopoty z emisją. Więc była wyemitowana w nocy, jak wówczas, było w najgorszym czasie antenowym, czyli tuż przed 12:00, bo już mało kto pamięta, że wtedy polskie radio nadawało do 12:00, o 12:00 był hymn i do widzenia, nie ma radia. Więc to było wyemitowane między 11:00 a 12:00. To był najgorszy czas antenowy, ale było wyemitowane. Dzięki temu mogło pójść na konkurs i to zdobyło tę pierwszą nagrodę, nagrodę główną.

Artur Kłus: O której dowiedziała się pani o nagrodzie?

Janina Jankowska: A o nagrodzie dowiedziałam się właśnie w czasie pierwszego zjazdu i to też było piękne przeżycie. O, to jest właśnie moje zdjęcie ze zjazdu, kiedy ogłoszono, że „Polski Sierpień” dostał pierwszą nagrodę i wtedy poproszono mnie, żebym wystąpiła, bo autorka jest na miejscu i ja tam coś mówię do tych stoczniovców, dziękuję, że to dzięki nim i tak dalej. Tak że to było wielkie, piękne przeżycie, bo oni się bardzo cieszyli i wszyscy wstali, klaskali mi. Ci delegaci w czasie zjazdu wstali, klaskali, a ja tu właśnie do nich przemawiałam i dziękowałam im za to. Tak że...

Artur Kłus: Nagrody pani nie mogła odebrać osobiście?

Janina Jankowska: Nie, nie puścili mnie na odbiór. To odbierał facet, który był korespondentem prasowym w Rzymie. On odbierał nagrodę. To jest cały ten system nasz. Taki półdupkiem. Tu wysłemy, ale nie, odebrać nie. Odebrać już ci nie wolno, jechać. Potem powtórzyć czy na antenę trzeba dać, ale w najgorszym czasie, żeby jak najmniej ludzi tego słuchało. W 1988 roku dostałam stypendium kościuszkowskie. Miałam, nagrywałam naszą emigrację, tych trzech pokoleń. Powojenną, późniejszą i tę solidarnościową, i jeździłam po tych różnych ośrodkach. Ja nie miałam kasety, bo mnie, kiedy w 1988 roku wylatywałam do Stanów, to mnie tak przetrzebili, do golasa, i nie mogłam nic wziąć, ale okazało się, że ci emigranci mieli te kasety, tak że robili mi takie nawet spotkania autorskie. To bardzo miłe było doświadczenie. I jeszcze takie moje najpiękniejsze zawodowe doświadczenie, jakie miałam, w ogóle ja miałam szczęście niesamowite, to po 1989 roku, kiedy już wróciłam do radia i nawet byłam wicedyrektorem Programu Pierwszego, wtedy już wyemitowałam „Polski Sierpień” w normalnym czasie antenowym. I pamiętam, miałam telefon od jakiejś słuchaczki, która powiedziała, że właśnie wysłuchała tego „Polskiego Sierpnia”, że jest pod takim wrażeniem, że miała wyemigrować z Polski, ale pod wpływem tego reportażu ona zostanie w Polsce. Wie pan, trudno chyba o większy efekt dla dziennikarza i większą satysfakcję niż taki głos.